Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 35. POZNAŃ. **1845.**

POEZJA.

Chór duchów złych.

(w nocy, podczas burzy.)

W lewo, w prawo
Lećmy żwawo.
Jeżeli się uda, ogniste gromy
Trza w locie chwytać, ciskać na domy
O my wiemy, gdzie tkwi wróg,
Który *w niebo, w cnotę. wierzy,*
Codzień klepie sto pacierzy,
By go zbawił cha cha *Bóg!*
O zaiste! taki kiep
Musi grotem dostać w łep.
Niechaj innych nie zaraża,
Pobożnością nie oparza.
A co główna, zajrzmy tam,
Gdzie głupiuchny lud prostaczy
W chatach, nakształt wilczych jam,
Choć nękany, bez rozpaczy,
Cierpi, ufa; cha cha wierzy.
Nim dostanie się do nieba
Trzeba łupnia dać mu, trzeba! —
Kiedy w chaty grom uderzy,
Gdy ogarnie je pożoga
I upiecze dziatek parę:
Wtenczas może przeklnie wiarę,
I odstąpi cha cha *Boga.*
A więc bracia, daléj! daléj!
Niech się chmurzy, niech się pali!
Na grzbiet chmury usiądziemy,
Z pochodniami poleciemy;
Taka burza, to kochanka,
Taka jazda, to hulanka.
Niech się chmurzy, niech się pali,
Naprzód, naprzód, daléj, daléj!
O my wiemy gdzie leciemy!
Omijamy domy panów,
To są nasi przyjaciele.
Przy zarządów stoją sterach,
W piersi biją się w kościele,
A śnią o krwi w belwederach.
To są nasi przyjaciele,
Oby takich było wiele.
Chi, chi, tyran nie jest głupi:
Od przesądów się odszczepia,
W ciemni ducha się zasklepia,
I morduje, niszczy, łupi.
Niech, tak czyniąc, żyje długo,
Zobowiąże nas przysługą.
O my wiemy, gdzie leciemy!
Będziem strzedz, wedle siły,
By w czeladki miléj
Przepyszne domy
Palne gromy
Nie biły!
O my wiemy, gdzie leciemy!
Trzaski, wrzaski
Zdala, zbliska —
Niech się błyska!
Niech się pali!
Daléj, daléj, daléj, daléj!

A. Cywiński.

W starym piecu djabeł pali.

(Opowiadanie mojego dziadunia.)

(Ciąg dalszy.)

Do onéj tedy karczmy było, walę i ja sobie chwacko — aż tu słyszę od stajni wrzask — harmider jak w piekle. — At to co mospanie? — Więc nuż do pistoletów — i pistolety jak smoki — na panewkach proch by pszeniczna kaszka, — nuż do sztuczczyka — idem et idem, — nuż do szabelki — jak brzytwa, ... a w tem — Ratuj ratuj przez Jezusowe rany! . . huknęło od karczmy, a za głosem, jak za śpiewką drumkanie, całem korowodem zadzwoniły kordy, — Héj to nie przelewki! . . Idę! . . odwrzasnąłem do pęknięcia gardła. W imie ojca i syna i w mgnieniu jużem u wrót. — A tu we wrotach — Jezus Marja! szlachcic jakiś karmazyn — jakiś marczak, z kąta czesze szablą na cztery wiatry, aż świszczy, — a do kąta sześciu

Dońców jak wilków, rąbie na szlachcica. — Oj kusoż mu było niebożęciu — to też wrzeszczał aż strach, — ale ostro, bo jak przytulił się plecyma do ściany, tak by skała, — i ani daj Boże kozuniowi nosem o krok posunąć, bo lizał kordem jak żmiją. — Ha — nie medytowałem długo. — Jak gruchnę raz — jak gruchnę drugi z pistoletów (a mospanie bywało, orleankę sparzyć w lot, to mnie jak orzech zgryść) — tak i moje dwa kozunie, wędrują duszami na łono Carycy. — Więc nuż do szabli — hoc z konia, i grzmią na odsiecz. — Ha djabeł kiedy chce wypłatać figla, bij zabij, wypłata, jak słońce na niebie. — Więc wepchnął za wrótnią kozunia, — ja do tamtych, a owa bestya jak nie skoczy, jak mnie nie utnie przez lewicę — potém przez łeb . . . . wszystkie gwiazdy zaiskrzyły mi się przed oczami, jak w trzaskący mróz. — Kapitalne cięcie — dzięki Bogu, i misiurce, nie dostało się do muzgu. — Ej odpłaciłżem mu też sowicie! . . poszedł za drugimi, — ale niech go Bóg kocha, co przylepił, to się nie odlepiło po dziś dzień od łysiny. — Co się tam potém działo — to się działo. — Brevius — melius — mówiąc, — tak we dwójkę, który nie drapnął, — pospokoiliśmy ich na wieki — świeć tam panie ich duszom. —

Nuż dopiero ów szlachcic zdrowiuteńki jak ryba, mnie w komplimenta — w podzięki, — nuż ja w atencyi, — aż tu raptem świat boży jak fruczka skręcił mi się przed oczami, — mgła wali tabunem na zmysły — wiatr chodzi po kościach, jak po płocianéj stodole. — Bądźże mi zdrów mospanie — pisz do mnie na Berdyczów! . . . . Byłem fryc, drasnął mnie za głęboko, — i ścięto mnie z nóg jak kosą. — Dwa wiadra wody, — i tęższy jeszcze medykament — to jest nowy, rwący tentent po gościńcu, strzeźwiły mnie w punkcie. — Strach ma duże oczy — zerwałem się na nogi — jakby nigdy nic. — Kwaśno było z nami, mój waść — i zgryźliśmy — kwaśniéj się coś znaczyło. — Uciekać źle, — nie uciekać gorzéj — intra Scillam et Charibdim; — a tu mospanie, tuman kurzu jak maryacka wieżyca, coraz bliżéj i bliżéj — wali we cztery wiatry, — jęczy tententem by grzmotem, śmiga żelaztwem ku słonku jak błyskawicami. — Ha co robić? — jechać? — dogonią — zabiją — zostać? — i tak zabiją, ażali to moskwa! — Raz umrzeć! zostać — więc zostalim.

Nuż dopiero szlachcic ów mnie oporządzać, wedle głowy; więc obtarł krew — zasklepił cięcie — ustroił jak na ciuciubabkę; — a szło mu wszystko jak z płatka — znać nie frycowe to kęsy — znać nie od wczoraj bywalec w marsowéj sztuce. — A w tém syby dźwięknęły jak organki — zagrzmiało podwórko, — my do okien — oni do drzwi, i miły Boże, zgadnij waść kto? — Ot nie Niemcy ciarapany, ni Moskwa niedźwiedzie, — ale nasi rodowici konfederaci, jak krew z mlekiem — a wszyscy huczno i buńczuczno — i szablisto i rzęsisto, — z miną od stu złych, i z czupryną nie od mniéj. — Opłacił że nam się ów Piotr co nam go napędzili — i sowicie odpłacił. —

Więc: — »Pochwalony Jezus Chrystus« — »Na wieki amen.« — »A witajcie stary kumie« — »Witajcie panie Jabóbie« — Zagadnęli, mój szlachcic z przodownikiem wchodzących, biegąc ku sobie w uściski. — »At to co panowie bracia, zarznęliście tu kurczaka jakiego,« — zagadnął znowu pierwszy, a znać z chodu i stroju i zwoju, co reje między nimi wodził. — »Deo jurante, i nie jednego mości marszałku odbił mój z pyszna, — anuć mi podziubał kruszynkę i chłopca, — a bez niego gadalibyśmy do siebie, ale aż chyba tam gdzie w niebieskim królestwie.« — »Marszałek . . . . A czy też to nie pan marszałek krakowski przypadkiem, — z powolnym respektem waszmość panów i braci, — ażali śmiem zapytać? . . wtrącę i ja moje.«

»Albo co? — Waść chłopcze, zuchu — albo jak?« — odbił — on klepiąc mnie po ramieniu — a był nie kto inny, jedno on, któregom szukał; — »Jam Czarnocki od samego urodzenia, z Secymina przy bożéj pomocy, ale ty, toś mi jakby wymalowan w pamięci. — Ej chłopcze, ktoś u licha? — bo ja cię znam koniecznie.« — »A czy słodki dla mnie, i fortunny ten sukcess, »odbiłem z kopyta, ale przystojnie,« kiedy mnie całą dobą wprzód, pozwolił ujrzeć waszmość pana, wraz ze wszystkiemi panami bracią szlachtą, — polecić moje powolne służby, i złożyć to pismo, od pana porucznika Okolskiego.« —

»Od pana Jana! . . . A Bóg ci płać! Bóg ci płać chłopcze. — Otóżem i w domu mośćdziejku! — Znam, znam kędyś, a to nie co innego, jedno krew [illegible]ści mojego poczciwego kuma Józefa! . . No! no! i mnie go nie poznać od razu! . . . Pójdź — pójdź tu chłopcze, niech cię uścisnę — kapka w kapkę — mój Józef, za szczęśliwszych bywało naszych czasów.« —

Więc ja przystąpił z należnym konsyderunkiem, i przystojnym słowem, — więc on uściskał mnie serdecznie po ojcowsku, aż mi dusza topniała istno wosk. — A potém wsadził na nos złociste okulary — potém rozpieczętował listy — potém siadł w kącie i czytał; — a jam tymczasem znowu w witania — w prezentacye. — Więc ten druch — ten brat — ten swat, — ten z ojca, ten z matki, i było mi między pięćdziesiątkiem obcych rado-miło, jak w domu u swoich. — Bo

też za innych czasów, notandum est waści, nie ma bywało kąta, w całéj Koronie, Litwie i Rusi, gdzieby polski szlachcic nie nalazł krewniaków, to też i nie żal bywało bratu za brata i głowę położyć — I ów szlachcic, com go wybawił kozuniom, był nie kto inny, jedno stary druch mojego rodzica, — i od szabli i od serca, i od figlów młodości, i od biédy w starości jak sam prawił, a jego miano pan Jakób Kalinowski. — Więc i ten znów upieścił mnie jak rodzony ojciec, i uśmiał się, i upłakał, czy zamną, — czy za swemi lepszemi czasy, — Bóg to wie.

A pan marszałek jak skoro ukończył czytanie, toż dopiero mnie dziękować, — chwalić, rekomendować panom towarzystwu; — rozpowiadać z ferworem wszystkie warszawskie historye, — z uciechą wszystkie dzielne sprawy panów Puławskich, wszystkie nadzieje lepszéj przyszłości. —

»At teraz wina wina! póki stanie Secymina!« . . . gruchnął jak mu zwyczaj w dobitkę. — »Za zdrowie pospolitéj rzeczy, i najjaśniejszéj barskiéj konfederacyi! — a potém za zdrowie naszego posła dobrych nowin. — Więc paślim tak, i pilim z godzinkę z modestyą i uczciwością, więc potém ja muszę od słucha do osmyka spowiadać sprawy moje, — potém znów gadu, gadu, a coraz gwarniéj, coraz weseléj, — tandem zbiegło tak skoro, że nie obejrzelim się, a tu już wieczór za pasem.

»Komu w drogę, temu czas; — zagruchalim się przydłużéj mościwi panowie,« — zawiódł pierwszy pan marszałek, patrząc na rozczerwienione u zachodu słonko; — »a daleka nasza droga, więc huku puku i marsz! — A ty chłopcze co uczynisz? — Ej albo jedź z nami, albo co mośćdziejku?« . . . »Z respektem waszmości panie marszałku, — odbił za mnie pan Jakób Kalinowski, — ale ja weto! — Chłopiec pokaleczon — potrzebuje wywczasu, — niechajże się wyliże, toć i potém nie zależy pola. — Mamci ja dlań moje specyalne obligacye — sprawił z wami co miał sprawić, ot pozwólcie, że wezmę go dziś do dom. a za niedzielę za dwie, znowuśmy społem w Krakowie, z bożą pomocą.« —

»Zgoda — zgoda miły panie Jakóbie, — święte słowa, istna ewangelia. Weźcie go z P. Bogiem, — jedno ej — miejcie radzęć na oku, bo to szpaczek, a nie z ostatnich wasza nadobna synogarliczka. — A i ty chłopcze pilnuj się — bo zaprawdę zdrowiéj człekowi z tatarskiem tabunem, niż z jedném dziewczęcem ślipkiem.« — dodał grożąc mi dobrodusznie. — Jam odmruknął niby coś, niby nic, — ale w rozumie zaroił sobie: nie taki djabeł jak go malują. — Pan Kalinowski: »To też i chłopiec niczego,« runął do ucha panu marszałkowi, — ja udał że nie słyszę, choć w duszy, jakbyś mi nalał miodu ze dwa korce. — Dryndulka zaszła, pożegnalim się. — Szczęść Boże, — wsiedlim, i poćmilim. —

Milę — kto wie i z ogonem od Kruszyc, leżała pomnę wioska — Grabowo, — imie mojego szlachcica; od owéj karczmy pięć oblewanych. — A było i zmudno i trudno dociągnąć, bo po dżdżach jakoś, zamiękły drogi; — zanocowalim tedy, a nazajutrz jedno świt, ruszamy daléj. — Felix inter felices, był ów nadobny dzionek w mojém życiu, — miły Boże, na samą wspominkę już jakbyś duszy wrócił spółkopy lat! — I minął, — i we sto koni już go nie dogoni! — Co tam to powszednio na tém padole płaczu.

Ale ad rem wracając, my było czeszem i czeszem, — bieguny jak wiatr, — szlachcic po drodze prawi stare dzieje, — to o Szwedzie — to o Tatarzynie, to o królu ś. p. Stanisławie Leszczyńskim — to o dzisiejszéj biedzie; — i ja od czasu do czasu dorzucę słów kilkoro, — ale co rozumem, to ani daj Boże uchwycić by kropli z jego sprawy. — Mój pan rozum czém inném się zastroił. — Ta synogarliczka, jak mi stanęła cierniem w muzgu, tak kole i kole, myśl oplątuje, jak pająk muszkę, a słowa pana Jakóba, miast ją wyrwać z onéj toni, gwiżdżą tylko wedle niéj, jak wiatr po pajęczynie. — Już widać Grabowo, bieli się z zieleni, jak istno graniczny kamień na łące, jam minę napuszył jak indor, — więc wąsa pomusnął, więc rycerskim animuszem ustroił oblicze, strzelistych komplimentów przywołał na pamięć z trzy kopy. — Zajeżdżamy — wioseszka malutka — ale nadobna, schludniutka, — stodółeczki — spiklerzyk — dworeczek: murówane, pobielane, jakb obszył — aż miło. — Wysiadamy, — jam ostry — rezolutny, — aż słodko. — Więc walim do komnaty, — wychodzi pani gospodyni, — nuż witań pocałunków z panem mężem jak gradu, — nuż potém ku mnie, — dyg, — szast, — »Miła panno, to krew mojego starego Józefa — to mój zbawca« etc. — tak pan Jakób poleca moje służby, — »Boże zapłać! — Boże usłysz błogosławieństwo sierot, i w tém podobne serdeczne podzięki znów odbija na pół ze łzami jéjmość. — Ja znów szast, szast — przystojnie — nadobnie, ale ostro — gęsto jak przed koronnem hetmanem, i plecie się wszystko, jakb' orzech zgryzł. — Otwierają się drzwi alkierzyka, — spojrzę — chcę szastnąć znów z dworska — z partesu, — a mój partes frr . . . i moja dworszczyzna frr . . . krótko a węzłowato, i stanąłem jak kotek. — Cudo boć to wyszło z tych drzwiczek — nie panna. — A buziaczek

— jak krew z mlékiem, — a oczęta, jak karbunkulki, — a uśmieszek jak słonko w jutrzniané́j kąpieli. — Więc prędziutko leciuchno, — ale ślicziuchno, radośnie skok — skok — jak koteczek, i już przylgnęła do ojcowskiéj piersi. — A pan ojciec uśmiechnął się, i urósł i spyszniał miną dziwnie, bo téż i było rość i pysznieć z czego.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRYTYKA.

Wyszedł w Sztutgardzie drugi tom dzieła Dra Bindera pod nazwą: »Der Untergang des polnischen Nationalstaates.« 1844. o którym wspomnieliśmy w Tygodniku r. 1843. w numerze 40. — Drugi tom jest dalszym ciągiem obrotnéj sofisteryi niemieckiego Doktora i przewrotnego z umysłu zrozumienia naszych dziejów ojczystych równie jak dziejów całéj sławiańszczyzny, a osobliwie dzisiejszego ruchu onejże. W tym tomie prowadzi autór swoję rzecz o upadku Polski, zacząwszy od panowania synów Zygmunta III., t. j. od r. 1632. i kończy godne dzieło krótkiemi uwagi o rewolucyi listopadowéj, czyli na r. 1831. — Do tego są jeszcze dołączone niektóre dokumenta historyczne w przekładzie niemieckim. —

Wynikle do pierwszego tomu trzyma się autór swojéj krytycznie położonéj zasady, że Polska nie miała nigdy bytu rzeczywistego jako państwo, a to z téj przyczyny, że go nie powinna była mieć, bo należąc do ogółu słowiańszczyzny tém samém należała do źródła swojego naturalnego istnienia właściwie sobie przeznaczonego wielkiego państwa rossyjskiego, od którego się nigdy nie powinna była ani na chwilkę oddalić, i nie zrywać spojni naturalnéj między słońcem a sobą jako krążącą planetą. To już powiedzieliśmy w num. 40 zeszłego roku. — Właściwie nie wartoby nawet wspomnieć o tak napisaném dziełku, chyba uśmiechnąć się z pogardą na płód niesumiennego pisarza, piszącego, jak się wyraża, dla prawdy — jednakże by złośliwie na świat rzuconą napaść odeprzeć, i nie potakiwać milczeniem jego przewrotnemu twierdzeniu, jakby sobie może mógł szanowny autór tłumaczyć; nareszcie by w sprawie prawdy nie być niemym i osłupiałym widzem najdziwaczniejszych niedorzeczności niemających z prawdą najmniejszego związku — nie zaszkodzi się nieco i nad tak nędznym zatrzymać szpargałem.

W dziejach każdego narodu są odcienia, nie przynoszące chluby ogólnemu postępowaniu. Naród bowiem, równie jak pojedyńczy człowiek, którego jest zbiorem i uogólnieniem, może błądzić i błądzić stósownie do ułomności natury ludzkiéj. — Te jednak zboczenia z prawéj drogi historycznego działania, że tak się wyrażę, złośliwy jeno pismak wybitniéj opisuje, wnioskując z tego na moralne zepsucie narodu, na jego słaby, niedołężny charakter, a nawet na zupełną niezdolność do dzierzenia samoistnego bytu jako państwo. Pismak taki pomija milczeniem inne piękne przymioty narodowe, opuszcza sławne czyny piętnujące życie narodowe, by jedynie zajść do fałszywie zamierzonego wniosku i zamydlić oczy uczciwym ludziom, nieznającym rzeczy wszechstronnie lub niemogącym znać onychże. — Po takiém pojmowaniu życia narodowego, poznaje się pismaka dziwnego nabożeństwa, piszącego to niby dla prawdy. — Tak napisał Dr. Binder całe swoje dzieło. — O dobréj istotnie Polaków stronie w czasach ich samoistności nigdzie wyraźnie nie wspomniał, wyjąwszy tam gdzie tego pominąć nie można: np. o waleczności historycznych mężów, o sławniejszych czynach narodowych itp. Ale o rozwijaniu się u nich ducha narodowego, o różnych jego dzielnych i rzeczywistych objawach wpływających silnie na ustalenie się charakteru i piętna narodowego, o narodowéj oświacie, słynnéj 16. wieku, o upadku onejże, i wynikach ztąd dla kraju szkodliwych itp. rzeczach nigdzie p. Binder dokładnie i przyzwoicie nie wspomniał, bo to nie należy w zakres jego pojęć o polskim narodzie. — Słabe jednak strony narodowe są żarliwie odeń ocenione, a przekręcań sofistycznych wydarzeń narodowych, pełno w jego dziełku.

Przejdźmy w tym względzie miejsca najwybitniejsze; wszystkie bowiem trudno wyliczyć — na to całe by dzieło trzeba przytoczyć, jako satyrę na nasze dzieje. Np. na str 24 mówi autór ubliżając prawdzie historycznéj, że za Jana Kazimierza Polska *obcą pomocą* i nowo powstającą własną siłą od zaguby uratowaną została. Według niego *obca pomoc* główną odgrywała rolę w wypędzeniu Szwedów i zrzucenia ich jarzma, a duch narodu z wyobrazicielem swoim Czarneckim i mnichem z Częstochowy na czele (o którym nie wie zapewne p. Binder) stał na uboczy, by słaba przyczepka i popychał ledwie dzielne obcych szeregów zastępy, by ocalić ojczyznę. Dziwnato zaiste i prawdziwie cudowna musiałaby być ta obca pomoc przewodnicząca *jako pomoc* — co za niedorzeczność!? — Duchowi narodowemu w walce o byt lub zagładę. *Pomoc przewodnicząca nie jest pomocą* ale potęgą samodzielną na gruzach obumarłego trupa, nie ruszającego się już zupełnie i nie mogącego stać o własnych

nogach — a takiemu trupowi i kadzidło obcéj ręki na nicby się pono nie przydało. Mówiąc na str. 78 o intrygach Rossyi mieszającéj się najniegodziwszemi sposoby w sprawy polskie wynurza się p. Binder na str. 79 temi słowy: Rußland spielte die Rolle des slavischen Supremats, die in der That ihm alleine zusteht. (sic!) Czyż te słowa nie pokazują na jaw całéj jaźni szanownego autora piszącego jedynie i bezwarunkowo dla prawdy, dla umiejętności, a nie dla dziwnego widzimi się, czyli bez podstawnego współczucia ku Polsce, na które sobie nigdy nie zasłużyła ta fantastyczna burzycielka ślicznego zwoju sławiańskiego, który się tak dziwnie przeplótł przewodnikiem niewiedzieć jakim w glinianą mózgownicę, dla prawdy jedynie oddychającego pana Bindera. — Osobliwsza rzecz, iż pomiędzy Niemcami dopiero p. Binder tak jasno pojął sławianszczyznę, jéj dzieje, przeznaczenie w przeszłości i przyszłości, jak dotąd jeszcze żaden uczony niemiecki — chwała pierwotworczemu geniuszowi, chwała błyszczącéj jego iskrze elektrycznéj, która przecież rozbije twarde i bojaźliwe czaszki inaczéj myślących historyków i polityków niemieckich tą nową ideą, do któréj oni nie nawykli i dotychczas jéj pojąć się wzbraniają, mimo oświatę germańską: że Rossyi należy zwierzchnictwo w Sławiańszczyznie, a przystoi wszystkim innym Sławianom uległość konieczna, rozumna a zatém historyczna, by nie strzelić jak jaki kometa w świat, przemieniwszy się w oddaleniu od słońca po zerwaniu stósunku siły odśrodkowéj i dośrodkowéj *w jakieś dziwne coś* dążące do niechybnéj zguby. Sławianie! czytajcie Bindera! przejmijcie się jego duchem, bo inaczéj . . . . . memento te mori! — A po śmierci następuje pogrzeb.

Na str. 85, 86 i 87 przytacza pan Binder słowa arcybiskupa gnieźnieńskiego o stanie Polski w czasie wstąpienia na tron Stanisława Poniatowskiego. Ubolewa ten szanowny prałat nad nieszczęściem ojczyzny, nad rozhukaną swawolą szlachty, nad upadkiem praw i nad godnością narodową wynurzając swoje zdanie rzetelne w celu przyczynienia się swym głosem do poprawy w czém bądź położenia krajowego, roztworzenia oczu ciemnym naówczas dzierzycielom najwyższych stopni narodowych, a p. Binder pali zaraz na to swe ciężkobitne zdanie li dla prawdy bezwarunkowo dyszące: (str. 87) Ein solches Selbstbekenniß gleicht in der That einem rechtlich begründeten Todesurtheile. Der Staat, welcher dieses gewährt, verdient seine Fortdauer nicht mehr, er hat sich selbst gerichtet. Mit Unrecht aber würde man ein nahe verwandtes, gränznachbarliches Reich anklagen, daß es in diese unbesetzte Festung einem ihm gefährlichen Fremden nicht einrücken ließ, sondern selbst Besitz davon ergriff. Selbsterhaltung ist die erste Triebfeder der Politik, wer nicht nimmt, was ihm das Schicksal biethet, der ist ein Thor und muß später selbst büßen. Polen war um jene Zeit, was heut zu Tage die Türkei ist. Wir wollen zwar nicht alle einzelnen Schritte der russischen Politik billigen, allein wir vindiziren Rußland allein das Recht über Polen, welches nicht selbstständig zu bleiben vermochte, seine Hand auszustrecken. (!!!)

Chociaż całe dzieło tchnie podłym serwilizmem moskiewskim i przewrotném wykrętarstwem; przecież tym podobne miejsca najjaśniéj pokazują całą brudotę duchową p. Bindera i jego niby filozoficzne, pragmatyczne rozumowanie godne drugiego Don-Kiszota z niemieckiego Krähwinkel. Więc dla tego, że jeden arcybiskup wyjawił w swéj mowie wady i błędy narodowe, ten naród już przez to samo nie godzien samoistnienia — już przez to samo jest skazany do grobu!? — Istotnie wynik filozoficzny niczego. A ponieważ według szumno-rozumnego zdania autora, Rossyi przynależy zwierzchnictwo nad Sławiany, dla tego ma bezwarunkowe prawo do intryg, by podbić sąsiednie mocarstwo. Z téj to przyczyny dają się wszelkie nadużycia Rossyi usprawiedliwić, że ona jedynie *powinna* była Polskę zagrabić. Prawdziwie *argumentum ad hominem!* niezbity dowód — dla czego? — bo uczony Binder tak sądzi, wpatrzywszy się pierwéj dokładnie w szczeliny ducha sławiańskiego. Podobnym *argumentem ad hominem* czyli raczéj *argumentem ad ovem* dowodził w bajce Ezopa mądry wilk struchlałemu barankowi, że mu wodę zmącił — bo tak mi się nareszcie podoba, a ty tego nie pojmiesz glupcze!! —

Na str. 99 określając cel konfederacyi barskiéj powiada autór, że zawiązaną była — gegen die Dissidenten und ihre mächtigen Beschützer für die Erhaltung der katholischen Religion und Vertheidigung der Freiheit (co uszczypliwie u p. Bindera znaczy: na obronę szlacheckiéj swawoli, utrzymania się kastowego bezprawia). O tém ale nie wspomniał szanowny autór, że konfederaci barscy pod głównem hasłem katolicyzmu chcieli zniszczyć wpływ rossyjski, intrygi dworu petersburskiego i kraj cały na własne, samodzielnie chodzące nogi postawić. — Wszakże to do celu nie należy. — Liczbę mieszkańców w zdobytéj przez Suwarowa Pradze, podaje autór tylko na 12,000, zapewne by srogość rozjuszonéj dziczy rossyjskiéj złagodzić, i pokazać może zanadto bojaźliwym umysłom, iż nie taki djabeł wielki, jak go malują. — Przytém ciągle mu się marzy o Jakubinach polskich — niewiadomo z jakich źródeł o istnieniu tychże dowiedział się — zapewne z prokla-

macyi rossyjskich w czasie trzeciego podziału głoszących, że aby zapobiedz jakubinizmowi szerzącemu się w Polsce itp. itp. Rossya z sąsiedniemi mocarstwy umyśliła rzeczpospolitą wymazać z karty państw europejskich. Stronnictwo jakubińskie ważną odgrywało rolę według p. Bindera, ponieważ chciało 28. Paźdz. lud do broni pobudzić — dla tego było istotnie jakubińskiem. —

Na str. 171 powiada autór, że w roku 1825. podano sejmowi propozycyę — das Recht des Königs anzuerkennen, wegen der demokratischen Umtriebe in Europa die polnische Verfassung nach seiner väterlichen Weisheit umzugestalten und beziehungsweise selbst aufzuheben. Téj propozycyi zapewne p. Binder jest referentem, a zwłaszcza jéj pierwotnym twórcą. — Bo kto tylko nieco zna szczegóły drobniejsze naszéj historyi, nie da temu wiary, żeby jaki uczony niemiecki mógł zmyślać podobne brednie. — Na to *miał* sejm zezwolić według dalszych słów autora: Der Reichstag willigte in diese Proposition ein, und (słuchajcie!) ermächtigte also den Kaiser und König zu Maaßregeln, welche man nachher für verfassungswidrig erklärt hat, obwohl solche ganz auf gesetzlichem Wege zu Stande gekommen waren.(!!) słowa pokazujące najoczywistsze kłamstwo — są wybitniéj tłoczone, bo na mocy ich opiera Dr Binder dalsze swoje rozumowania o nielegalném, buntowniczém powstaniu 1831. roku. Polacy bowiem nic wiecéj od rządu rossyjskiego natenczas nie cierpieli, chyba to co dolegało np. mieszkańcom wszystkich konstytucyjnych państw niemieckich. Postępowania rządu były tedy według szan. autora *uprawnione* zezwoleniem sejmu, a Rossya ani na jotę nie nadwerężyła praw i konstytucyi królestwa polskiego. Czyż nie prawda!? Nie takżeto ongi bywało? I któż się temu sprzeciwić odważy?! —

(Dokończenie nastąpi.)

Die

Atheisten und Gottlosen unserer Zeit

von

Friedrich von Sallet.

Leipzig. 1844. Druck und Verlag von Philipp Reclam jun.

(Ciąg dalszy.)

Zakreśliwszy to jedynie człowieka godne pojmowanie małżeństwa, przystępujemy do napiętnowania ateistów i bezbożników w téj sferze aż nadto licznych:

Najprzód z pogardą odpiéramy tych, co małżeństwo za nic innego, jak tylko po prostu *za konkubinat*, dla tém większéj dogodności pewnemi przyjętemi formami i ceremoniami ustalony i zawarowany uważają, a tém samém li tylko zwierzęcego zaspokojenia popędu płciowego w związku małżeńskim szukają. Aż nadto widoczną, że osoby w tym nikczemnym celu do związku małżeńskiego przystępujące, i w nim trwające, z wszelkiéj duchowości wyzute niżéj zwierząt się stawiają; zwierzęta bowiem nie mające ducha muszą ślepo prawom natury ulegać; czyli są one czarodziejską laską natury w pewne ściśle zakreślone koło zmysłowe zaklęte, z którego na żaden sposób ani na krok wyłamać się nie mogą; człowiek atoli, obdarzony duchem, i *li jako duch* na imię człowieka zasługujący, jeżeli porówno ze zwierzętami w brudnym kale zmysłowości przeznaczenia swego szuka, zewłóczy się z boskiéj szaty duchowéj, zaciera znamię człowieczeństwa na swém czole, zstępuje samochcąc do ciemnego i niewolnicznego królestwa zwierząt. Lecz to rzeczone pojmowanie małżeństwa tak namacalnie swą zwierzęcością razi, iż nigdy sobie wielu wyznawców zjednać nie zdołało. Dla tego téż nie zabawiając się bezpotrzebnie jego dłuższém zbijaniem, pospieszamy innemu nie mniéj zdróżnemu a nieomal powszechnemu pojmowaniu małżeństwa zajrzeć w oczy, które właśnie dla swego rozpowszechnienia ostrzejszego i wytrwalszego natarcia wymaga.

Do téj drugiéj a bardzo licznéj kategoryi należą ci, co się z brudnego stanowiska materyalnéj korzystności na małżeństwo spekulacyjnie zapatrują, związek małżeński za stósunek kontraktowy pomiędzy dwiema osobami do osiągnięcia pewnych ziemskich celów i pewnych wzajemnych korzyści zawarty i służący uważają. Naturalny stąd wniosek, że osoby kontraktujące stają się w takim razie rzeczami podrzędnemi, przy korzyściach za rzecz główną uważanych. Tu to wstępujemy na ohydne targowisko niewolników, gdzie się osoby za pewne umówione summy przy zawieraniu tak nazwanych małżeństw *na rozsądku* opartych albo same sprzedają, albo téż od okrutnych rodziców lub nielitościwych opiekunów sprzedawane bywają.

Nie można zapewne świętego wyrazu *rozsądku* więcéj nadużyć, jak w powyższém zastósowaniu. Ci co go nadużywają, rozumują oto tak: »ten a ten ma tyle a tyle rocznego dochodu, zatém potrafi on mnie (albo téż: moją córkę) dostatecznie wyżywić.« Lecz wiédzcie, że w podobném rozumowaniu, które wy za świetny objaw waszéj filistrowskiéj kramarskiéj rozsądkowości uważacie; ani cienia prawdziwego rozsądku

domacać się nie można. Rozsądek bowiem będący sam sobie celem, i zarazem wielkim celem świata, nic a nic o waszych podrzędnych i potocznych ladajakich celach nie wie. Wymagamyć i my, aby wszelkie nasze stósunki rozsądnémi były, lecz nie rozumiemy tego tak jak wy, że one nas od głodu ochraniać mają, ale raczéj tego po nich żądamy, aby były formami wieczną boską treścią, czyli Bogiem samem napełnionemi. Tą zaś wieczną, boską treścią małżeństwa, jest jedynie *zjednoczenie się dwojga w duchu.*

Nie przeczymy jednakże temu, że mąż obowiązany żonę swoją utrzymać, bronić i zasłaniać, gdyż obowiązek ten wynika z samego pojęcia małżeństwa. Mąż i żona będąc *jednią w duchu*, są tém samém i w swym wewnętrznym stósunku światowym *jedną tylko osobą moralną.* A że mężczyzna, jako duch do czynu rozwinięty, w ogólności kierunek na zewnątrz reprezentuje, przeto do niego utrzymywanie i zastępywanie żony i familii należy.

Ateizm tych, co skalę arytmetyczną do małżeństw przykładają, mieści się przeto w tém, że oni w małżeństwie wyłącznie to tylko, co światowém, co ziemskiém, za główne uważają, a tego co duchowém, co boskiém, t. j. *jedności w duchu* albo wcale nie uznają, albo też jako przypadkowy przydatek do rzeczy ziemskich radzi nie radzi w targ przyjmują.

Tylko z podobnego grubo-materyalnego pojmowania małżeństwa niedorzeczne uważanie go *za kontrakt* wypłynąć mogło. Niedorzeczność tę łatwo wykazać. Kontraktować można tylko *co do rzeczy*, gdyż się tylko rzeczy pomiędzy sobą co do swéj wartości porównać, i do stósunku ilościowego sprowadzić dadzą. Człowiek atoli, jako istota duchowa, jest nieskończonością, nie da się on ani zmierzyć, ani zważyć, ani na kopy policzyć, a zatém jako nieskończoność w karby zmysłowości nieujętna, nie może być sprzedajnym przedmiotem targu i frymark. W przeciwnym razie nieskończoność człowieka za coś skończonego, a *duch* za *rzecz* uważanym bywa, czyli *Bóg* w człowieku *nie uznany i sponiewierany.*

Całkowite wzajemne oddanie się dwóch osób sobie może tylko *wolnym* być *podarunkiem* z obu stron wolnie darowanym, lecz nigdy kontraktowa stypulacya do skutku przywieść go nie będzie w stanie.

Tu miejsce stósowne i o tych nadmienić, co *miłość* za rzecz do małżeństwa wcale niepotrzebną, a nawet z tego powodu za szkodliwą uważają, że porywając człowieka w idealną sferę zobojętnia go względem powszedniego zewnętrznego życia, albo też że przedmiot ukochany w uroczym świetle przedstawiając, jego prawdziwéj wartości poznać nie dozwala, a ztąd, w Krainie ułudzeń bujając, nieraz ciężko, powróciwszy do stanu trzeźwości, za swe złudzenia odpokutować musi. — Ludzie podobnie rozumujący wydają się najprzód z tém, że nie znają nigdy i nie zaznali, *czém jest miłość*, i że chyba ją owém ulotném i płochém upojeniem wśród zmysłowéj atmosfery balowéj zaczerpniętém, albo też dziecinną i błachą igraszką miłostkową być mienią. Bez wątpienia unosi miłość kochającego i kochanego z pozioméj sfery powszedniego życia w rajską krainę wyższéj idealności. Lecz ta wyższa idealność nie jest żadném złudzeniem, ale przeciwnie istotną prawdą człowieka, znajdującego w duchu, t. j. w świecie idealnym swoją błogą ojczyznę. Miłość jest przeto owym pniem, z którego jedynie prawdziwe poznanie ducha ludzkiego wystrzelić i wykwitnąć może, i w tém tylko zbyt prędką i pochopną, że przeczuciem i boskim instynktem parta, człowiekowi *od razu* to miejsce szczytne i zaszczytne naznacza, na którym go, przyszedłszy do niezamąconéj czystości poznania, zatwierdzić winna. A choć też i nieraz w swym górnym polocie złudzi, choć nieraz takiego za prawdziwego i istotnego człowieka uwielbia, o którym późniéj tego gorzkiego przeświadczenia nabędzie, że daleko po za ideałem w tyle pozostaje, to przecież strata ta niczém jest w porównaniu z wewnętrznym zyskiem zasadzającym się na tém, że osoba kochająca *przynajmniéj raz w życiu* ideał człowieka w swém uczuciu piastowała i w nim się rozpływała. Bez miłości nigdyby człowiek do tego doświadczenia i do poznania człowieka w jego prawdzie nie doszedł. A tak miłość jest jednością ducha w jego nieskończoności, czyli *miłość* jest *Bogiem samym* w formie uczucia, a kto miłość z związku małżeńskiego wygania, ten wygania *Boga samego.*

(Dalszy ciąg nastąpi w No. 37..)

PRZEGLĄD PISM.

Biblioteka romansów zagranicznych.

(Lipsk Libraire et rangène*)

Jakkolwiek wszelkie literackie spekulacye po niwie piśmiennictwa bez odgłosu przechodzić powinny, jakkolwiek zasłużona niesława i śmierć przedwczesna płody niedonoszone, bez niczyjego dołożenia się nawet dotyka; trudno mi przecież nie napisać tych słów kilku o Bibliotece romansów zagranicznych, wydawanéj nakładem pp. Breitkopfa i Haertla w Lipsku. Polszczyzna téj biblioteki tak jest koślawa, tak nędzna, tak wręcz wszelkim prawidłom składni polskiéj prze-

ciwna, tak ucho Polaka rażąca, iżby o całém tłumaczeniu i mówić nie warto było, gdyby nie obawa, ażeby niektórzy z pogranicznych, zwłaszcza Księstwa mieszkańców, co już germanizmami (jak się o tém niestety naocznie przekonałem) pokaleczyli swą mowę, jeszcze się bardziéj czytaniem tych nieszczęśliwych romansów w błędach swoich nie utwierdzali.

Pan B. W. (a dobrze zrobił, że nazwiska nie wypisał, bo mu dzieła, które czytałem, chluby nie przynoszą) pan B. W. mówię, może być człowiekiem bardzo skąd inąd światłym, uczonym nawet, ale nim się daléj do tłumaczeń na polskie zabierze, radzilibyśmy mu uczyć się wprzódy z rok jeszcze grammatyki, czytać dużo i dużo książek prawdziwą i czystą polszczyzną tchnących. — Wtedyby się szan. tłumacz bez wątpienia dowiedział, że słowa czynne z przeczeniem użyte, rządzą u nas przypadkiem drugim nie czwartym; że się nie mówi *pada*, tylko deszcz pada, nie *padało*, a co najgorzéj *deszcz padało*, tylko deszcz padał, że przymiotnik *wart* odmienia się przez rodzaje (tłumacz mówi np. *twoja ciotka nie wart tego*); że dumnym nie można być *na co*, ale *czém* lub *z czego* itd. itd. itd., bo gdybyśmy pojedyńczo barbaryzmy pana B. W. wyliczać chcieli, trzebaby było z parę bitych napisać arkuszy, a dalibóg szkoda czasu i atłasu. — Kto tak po polsku pisze, może jako cudzoziemiec (jeśli pan B. W. jest cudzoziemcem) szczycić się nie złą znajomością języka naszego; ale dzieł pisać nie może i nie powinien. — Bo pominąwszy już okropne błędy, których małą próbkę powyżéj przytoczyłem, styl jest najszkaradniejszą mieszaniną potwornych gallicyzmów i germanizmów; całe wyrażenia francuzkie, a przeto i myśl często ciemna lub sfałszowana. Autór nie wie wcale o tém, że ciągłe powtarzanie zaimków, *ja, ty, on, mój, twój, swój;* jest przeciwne duchowi mowy naszéj; nie zna prawie ani jednego polskiego przysłowia i z dziwną prostotą darzy nas francuzkiemi, które jeszcze do tego najniezgrabniéj na polską przekuwa formę. — Szkoda papieru na takie bazgraniny, wstyd dzieła tak dla ludzkości ważne jak są pisma pani Sand i Eugeniusza Sue w tak odrażającą stroić powierzchowność; niegodna, ich pomysły wzniosłe i w skutki brzemienne, przez nędzne oddanie w obcym języku bezkorzystnemi, ba nawet śmiesznemi robić! — Porzuć panie B. W. niewdzięczną i wcale zaszczytu nie przynoszącą ci pracę, zleć komu innemu na rok przynajmniéj wydawanie dalszych tomów Konsuelo i Żyda wiecznego, a tymczasem ucz się, ucz pilnie polszczyzny. Bo, wierzaj mi szan. autorze, twoje tłumaczenie uszłoby, jako wypracowanie ucznia (rozumie się Niemca) w klassie drugiéj gimnazyum, może byś nawet za nie od professora w obliczu całéj klassy pochwałę odebrał, ale występując na widok publiczny tylko wstyd w udziale pozyskasz. *Lepiéj dzieci syllabizować uczyć, lepiéj drwa rąbać, lepiéj każdéj innéj uczciwéj chwycić się pracy, jak wydawaniem dzieł takich uwodzić siebie i drugich.*

Część winy, lubo najmniejsza zapewne, spada i na wydawców dzieła. Nie wdajemy się tu w rozbiór pytania: czy nieznajomość języka, chęć zysku nie dozwoliła pp. Breitkopf i Haertel utworów pana B. W. dokładnie ocenić? To tylko nadmienić musimy, iż pierwsza trudność da się łatwo usunąć przez podanie rzeczonych utworów pod krytykę kogoś, coby dokładnie znał język i konstrukcyą polską, a o ile sądzić możemy o znalezienie takiego zapewne w Lipsku nie trudno. Gdyby zaś druga zachodziła przyczyna, nie mogąc od pp. Breitkopf i Haertel, od cudzoziemców wymagać gorliwości o czystość i uprawę języka naszego, prosimy tylko aby sławę własną mając na celu, o lepszego tłumacza nadal postarać się chcieli, boć i uczeń z najniższéj szóstéj klassy, byle rodowity Polak, pozna, że Biblioteka romansów zagranicznych nie po polsku pisana; ludzie zaś dojrzali oskarżyć ich mogą o chęć zysku, a daj Boże aby nie o co więcéj. —

A. K.

Doniesienia literackie.

W Warszawie wyszło dziełko p. L. Koncewicza »Prawidła pisowni polskiéj na zasadzie wniosków deputacyi T. P. N. r. 1830. oparte i rozwinięte.« — Autór wychodzi z fałszywéj zasady, że w języku polskim nie wszystko tak się pisze jak się mówi. — Precz z taką niemoralną ortografią! U nas powinno się tak pisać jak się mówi — a mówić jak się myśli. —

Pan professor sławiańskiéj literatury w College de France — niegdyś wielki nasz Mickiewicz — w tym roku nie będzie miał odczytów. Ministeryum, któremu zapewne niedorzeczności i śmieszności towiańsko-mickiewiczowskie się już znudziły, dało mu uwolnienie na rok.

Tendencya wiecznego żyda Suego — coraz jaśniéj się teraz okazuje i powszechne pochwały zyskuje. W czasie kiedy zakon, który jakby na pośmiewisko Jezusa, święte jego imie nosi, coraz bardziéj się rozszerza — u nieoświeconych lub takich, którym w głupocie najwygodniéj przez swe słodkie słówka przystęp znajduje, z depopularyzowanie go dziełem tak czytaném jakiém jest żyd wieczny, jak najbardziéj było potrzebném i użytecznem. Że Sue dokazał swego, okazuje strach partyi jezuickiéj przed dziełem tém i zakazy kościelne w Francyi czytania dzieła tego, które *teraz* polecamy.

Wyborne dzieło Proudhona »O własności« zostało i na niemieckie przełożone. Wyszło w Bernie. Czemuż dzieł takich tłumaczeń, wydawania; nie podejmują się zagraniczni nakładcy polscy jak np. księgarnia Breitkopfa i Haertla; użyteczniéj dla Polski a nawet dla nich korzystniéj by to było, jak wydawanie lichych »Karolin« »Judithów« »Herbarzy«, dziś już śmiesznych — i t. p. pism.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień we Wtorek. Prenumerata, wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich królewskich pocztamtach, i księgarniach krajowych i zagranicznych. Główny debit ma księgarnia J. K. Żupańskiego w Poznaniu.

Redaktor *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*